

## Czy potrzebni są „marcowi profesorowie”?

W tej sprawie zgadzam się z profesorami Achmatowiczem i Tazbirem<sup>2</sup> – strzeż Boże Polskę od nowych „marcowych profesorów”! Niestety z kilkoma innymi opiniami i sugestiami zawartymi w ich artykule zgodzić się trudno. Nie chcę tu polemizować z oceną procesu awansów naukowych w innych krajach, a w szczególności w Stanach Zjednoczonych. Wystarczy zajrzeć do Internetu, aby przekonać się nie tylko o przebiegu kariery naukowej, ale i o formalnych wymaganiach, jakie w różnych krajach są profesorom przy ich awansie stawiane. Oczywiście mają Autorzy rację, wskazując na takie uwarunkowania jak konkurencja przy staraniu się o pozycje profesora czy częste, szczególnie w USA, zmiany miejsca pracy, ale jest przecież wiele innych elementów tej kariery odmiennych w różnych krajach, a nawet na poszczególnych uczelniach.

Warto też zwrócić uwagę, że w Polsce istnieje identyczny, jak w uniwersytetach tytuł profesora w instytutach i jednostkach badawczo-rozwojowych, a więc w instytucjach nie będących uczelniami. Jest to w wielu innych krajach europejskich i pozaeuropejskich zupełnie nieznanie i niezrozumiale, gdyż tam pojęcie profesora wiąże się nierozdzielnie z katedrą uniwersytecką. Trudno więc odwoływać się do doświadczeń tych krajów, a tym bardziej przyjmować jednolite kryteria dla osób uprawiających wyłącznie działalność naukową i tych, którzy co najmniej połowę czasu przeznaczają na nauczanie.

Trudno też, za Autorami wspomnianego artykułu, porównywać sytuację, w której powoływano „marcowych profesorów” i sytuację istniejącą obecnie w Polsce. Trudno porównywać ówczesne motywy działania do motywów prezentowanych w toczącej się obecnie dyskusji i nie być posądzonym o nieuprawnione analogie.

Sytuacja, z jaką mamy obecnie do czynienia w szkolnictwie wyższym (celowo nie zajmuję się tu awansem profesorów w placówkach badawczych, co ma zupełnie inny wymiar), to niekorzystnie rosnąca dysproporcja liczby kandydatów na studia i liczby nauczycieli akademickich. Są dwie możliwe reakcje na takie proporcje:

- ograniczać liczbę studentów, co w dzisiejszych czasach byłoby absurdem,
- zwiększać liczbę nauczycieli akademickich, a w tym profesorów.

Żyjemy w kraju zdążającym ku gospodarce rynkowej, w którym podaż jest wymuszana przez popyt. Jest popyt na profesorów, więc tak czy inaczej będzie podaż profesorów i żadne zabiegi prawne czy biurokratyczne nie są zdolne przeciwstawić się takim zmianom. Dziś owocuje to wieloletowością profesorów, której żadne uchwały senatów uczelni nie są w stanie ograniczyć. Zawsze się znajdują drogi obejścia takich decyzji. Ale wszyscy wiemy, że jest to bardzo złe. Trzeba więc coś zrobić, żeby naprawić taką sytuację. Tu są możliwe różne wyjścia – reorganizacja uczelni, intensy-

<sup>1</sup> Prof. dr hab. Janusz Haman, członek rzeczywisty PAN.

<sup>2</sup> Osman Achmatowicz, Janusz Tazbir; *Nie twórzmy „marcowych profesorów”*, „Nauka” 1/2004.

fikacja studiów doktoranckich, zmiany uposażeń nauczycieli akademickich, zwiększanie mobilności ludzi nauki i tak dalej. Ale faktem pozostaje, że mimo wszystkich ułatwień wynikających ze (słusznie przez Autorów krytykowanych) egzotycznych, polskich warunków, polegających na związaniu kariery uniwersyteckiej z jedną uczelnią, awans naukowy ciągnie się w Polsce o wiele dłużej niż w innych krajach. Nikogo już w Polsce nie dziwi nominacja profesorska uzyskana w 60. roku życia i 20 lat dzielące magisterium i habilitację. I tu jest jedna z ważnych przyczyn zniechęcających młodych ludzi do kariery uniwersyteckiej. Pogodziliby się oni nawet z mizernymi asystenckimi czy adiunkckimi uposażeniami, ale perspektywa czekania 30 lat na profesurę nie jest na pewno zachęcająca.

Przecież widzą oni, choćby w Internecie, jak przebiega kariera ich rówieśników za granicą. Odnosząc się do przykładu zamieszczonego w artykule profesorów Achmatowicza i Tazbira chcę zwrócić uwagę, że pozycję *assistant professor* uzyskuje się w USA, nawet na prestiżowym uniwersytecie, w kilka lat po doktoracie, a jest to pozycja bliższa naszemu docentowi niż pomocniczemu pracownikowi nauki. Prawda, że jest to zatrudnienie na czas określony, ale przy dobrych wynikach pracy awans na stanowisko *associated professor* jest szybki, a ten często związany już jest z uzyskaniem *tenure*, a więc, praktycznie biorąc, gwarancji bezterminowego dalszego zatrudnienia i stosunkowo szybkiego awansu na *full* profesora. Stąd też spotykamy tam licznych trzydziesto-, czy czterdziestoletnich profesorów.

Jeśli natomiast zachowamy obecny tryb awansowania, to nie będziemy może mieli „marcowych profesorów”, ale za to będziemy mieli masową emigrację najzdolniejszych młodych uczonych. Spotykać też będziemy się

dalej z różnymi sztuczkami potrzebnymi do zaspokojenia popytu na profesorów nie tylko w prywatnych, ale i państwowych uniwersytetach.

Niezawodnie kluczową rolę może tu odegrać Centralna Komisja do spraw Tytułu i Stopni Naukowych. Jest to ciało liczące ponad 200 profesorów, wyłonione w drodze demokratycznych i przeprowadzanych w swoim własnym środowisku wyborów. Ten sposób tworzenia składu Komisji pozwala mi sądzić, że rozkład statystyczny poziomu wiedzy i kwalifikacji jej członków jest zbliżony do takiego rozkładu w całej populacji profesorskiej. Sąd ten opieram na wieloletnim doświadczeniu wyniesionym z pracy kolejno w GKK, RGSW i CK, a więc z instytucji zatwierdzających habilitacje i profesury. Sąd ten opieram także na własnych, wspólnych z matematykami, czysto statystycznych studiach procesu wyborczego do tego rodzaju naukowych gremiów. Tak więc skład Komisji można uznać w dobrym, ale i nie najlepszym znaczeniu, za reprezentatywny dla polskiej nauki. Do tej pory Komisja zajmuje się głównie, z lepszym lub gorszym skutkiem, opiniowaniem habilitacji i profesur. Zakłada przy tym, że jej członkowie i recenzenci są lepsi i bardziej kompetentni, niż członkowie oraz recenzenci rad wydziałowych. Nie chcę z tym przekonaniem polemizować, ale na pewno nie jest to wystarczający hamulec dla „marcowych profesorów”. Nie wydaje mi się możliwa poprawa sytuacji przez zwiększenie liczby sit kontrolnych, a już na pewno nie przez objęcie kontrolą wszystkich prac doktorskich, co zdają się sugerować Autorzy artykułu. Pomijając fakt, że wymagałoby to kilkakrotnego zwiększenia liczebności CK i kosztów takiej operacji, sądzę że byłoby to dalsze rozwijanie leczenia objawowego, chorej obecnie struktury, zamiast zastosowania profilaktyki.

Przypomina mi się tu porównanie użyte przez wybitnego lekarza odnośnie różnicy między zdrowym trybem życia a stosowaniem pigułek. Otóż jeżeli mi zabraknie oleju w samochodzie to zapala się czerwona lampka. Mogę na to zareagować dwojako: dolać oleju lub wykręcić lampkę. Korzystając z tego przykładu, pozwalam sobie na wyrażenie opinii, że niektóre działania CK zmierzają ku wykręcaniu lampki.

Sądzę, że o wiele więcej byłoby pożytku, gdyby owo, skupione w CK, grono profesorskie, może wspólnie z Komisją Akredytacyjną, zajęło się odpowiedzią na pytania: co zrobić, aby przyspieszyć karierę młodych uczonych? Jak podnieść poziom doktoratów, aby po jakimś czasie, tak jak zrobili to przed dwoma laty Niemcy, zrezygnować ze zbędnej już wtedy habilitacji? Co wreszcie zrobić, aby przestać kontrolować hurtem poszczególne habilitacje i awanse profesorskie, a w to miejsce zająć się takim oddziaływaniem na rady wydziałów, aby to one właśnie stały się barierą dla „marcowych profesorów”. Dziś bowiem nie martwią się te rady tak bardzo o poziom swych kandydatów na doktorów i profesorów, lecz o zebranie w swoim składzie odpowiedniej liczby profesorów jednej dzie-

dziny czy dyscypliny umożliwiającej im uzyskanie uprawnień. Przy czym nikt nie wie dokładnie, co to jest „dyscyplina”, bo są te klasyfikacje w Polsce co najmniej cztery różne, nie mówiąc już o zupełnie odmiennej i znacznie szerszej klasyfikacji Unii Europejskiej. Zaś nawet mała zmiana w tej klasyfikacji grozi, przy obecnych przepisach, wielu radom wydziałów (nawet gdyby w swoim składzie miały laureatów Nobla) utratą tych uprawnień. Teraz niemała grupa członków CK pracuje nad uporządkowaniem owych klasyfikacji dziedzin i dyscyplin, lawirując między zdrowym rozsądkiem a próbą dopasowania się do nieżyciowych przepisów ustawy z 2003 roku. Tak więc jeszcze jednym zadaniem dla Centralnej Komisji byłoby pilnowanie ustawodawcy, żeby nie tworzył kolejnych nieudanych regulacji prawnych.

Wtedy może stanie się w Polsce tak, jak to bywa w innych krajach, które nie mają żadnego centralnego systemu ocen. Podaje się po prostu przy nazwisku, w jakiej uczelni uzyskano doktorat czy profesurę. Takie rozwiązanie okazało się nad wyraz skuteczne, nie krzywdzi ludzi, a właściwym uczelniom dodaje splendoru.